

Kiedy w marcu ubiegłego roku życie zatrzymało się w miejscu i spanikowani, w strachu przed nieznanym wirusem zamknęliśmy się w domach, wielu ludziom wydawało się, że wracamy do istoty naszej egzystencji. Życie w nowej rzeczywistości rozdzieliło się na to, co konieczne, i to, co niekonieczne, a my zostaliśmy uwolnieni od wszystkiego, co niekonieczne, wszystkiego, co zbędne.

Za zbędne oczywiście uznaliśmy mnóstwo spraw i rzeczy, bez których jeszcze do niedawna nie mogliśmy wyobrazić sobie naszego codziennego życia: spotkania z przyjaciółmi, podróże, wyjścia do kina, na koncerty i do teatru, gra w koszykówkę i piłkę nożną – wszystko to zostało uznane za niekonieczne.

Instynktownie przeciwstawiałem się temu podziałowi, byłem przekonany, że wszystko, z czego składa się moje życie, jest jednakowo konieczne, ale z czasem zacząłem się zastanawiać, czy to okrojone życie nie jest może prawdziwe, czy te niekonieczne rzeczy i sprawy nie oddalały mnie przypadkiem od istoty egzystencji.

Im bardziej łamałem sobie głowę, tym bardziej dręczyło mnie przeświadczenie, że to nowe życie w samoizolacji powinno mnie satysfakcjonować, a nie sprawiać, że czuję się oszukany i ogołcony, chwilami nawet zupełnie wypalony.

Miałem nawet wyrzuty sumienia, przecież epidemia podarowała mi prawie nieograniczony czas dla żony i dzieci, podarowała mi spokój, o jakim przed epidemią mogłem tylko marzyć, spokój, którego wcześniej szukałem i znajdowałem jedynie tysiące kilometrów od domu.

Prawda, w naszym mieszkaniu nie było piaszczystych plaż, które czekały na nas w Meksyku, ale tu byliśmy też tylko we czwórkę i podobnie jak tam – poza zasięgiem. Również tu, jak na trudno dostępnym wybrzeżu Oceanu Spokojnego, nikt nie wdierał się do naszego małego świata, nic nas stamtąd nie wyrывało. A jednak nie mogłem uwierzyć w to szachrajstwo, nie potrafiłem się nim cieszyć. Nie potrafiłem poddać się iluzji.



Pewnego wiosennego dnia wybraliśmy się na spacer po Barju, szliśmy powoli, zatrzymując się i pokazując sobie płatki na gałęziach drzew. A potem błotnistym zboczem wspięliśmy się na szczyt Świętej Anny i z góry podziwialiśmy Barje. Usiedliśmy na łączce przed kościołem i patrzyliśmy na pociąg, który w dole jechał do Lublany.

Na pozór wszystko wyglądało tak samo nierealnie jak na stateczku w Meksyku. I jak wtedy, gdy wpatrywałem się w zachodzące słońce i miałem wrażenie, że nic innego naprawdę nie istnieje, tak i teraz była tu nasza czwórka, ciepłe wiosenne słońce i magia Barja.

Ale iluzji nie było. Ciało za nic nie chciało ulec i poddać się chwili. Jakby mojemu duchowi ciążyła bliskość domu i wszystkiego, co mnie tam czeka, więc nie mógł nawet na moment oderwać się od rzeczywistości i ponieść mnie gdzieś daleko. Piękno, którego byłem świadkiem, nie przeniosło mnie w żadne inne miejsce. Nad Barjem na ciepłej trawie siedziało ze mną moje życie ze wszystkimi swoimi zawiłościami i trzymało mnie mocno. A ja nie potrafiłem uwolnić się od jego obecności.

Niedługo po pełnym wolności lecie, w październiku, gdy społeczeństwo znowu się zamykało, zaproszono mnie do Wrocławia na finałową galę nagrody Angelus, do której nominowano polski przekład *Mojej Jugostawii*. Nagrodę Angelus przyznaje się najlepszej powieści środkowoeuropejskiej opublikowanej poprzedniego roku w Polsce, a jej laureatami zostało kilku naprawdę ważnych dla mnie pisarzy, na przykład Swietłana Aleksijewicz, Jurij Andruchowycz, Miljenko Jergović, Georgi Gospodinow. Moje pisarstwo jeszcze nigdy nie spotkało się z większym uznaniem.

Nie przyjąłem jednak zaproszenia. Poinformowałem organizatorów, że w tak niepewnym czasie nie mogę zostawić rodziny i wybierając się w podróż, która nie jest niezbędna, narazić na niebezpieczeństwo zarówno ich, jak i siebie. Świadomie zatem zrezygnowałem z czegoś, co w innych,



zwyklejszych czasach na pewno sprawiłoby mi przyjemność, i zgodziłem się oglądać finał Angelusa online.

I tak w wieczór rozdania nagród zasiadłem przed komputerem stojącym na stole w jadalni, połączyłem się z Polską, sprawdziłem, czy obraz i dźwięk są w porządku, zamieniłem kilka słów z Kapką Kassabovą, pisarką, która tak jak ja nie mogła przyjechać na ceremonię rozdania nagród, w końcu rozpoczęła się gala. Uroczystość odbywała się po polsku, sygnał się gubił, dźwięk był słaby, obraz ziarnisty. Nie dostanę tej nagrody, dzień w dzień powtarzałem żonie, a jeszcze częściej mówiłem to sobie w duchu, bo naprawdę byłem przekonany, że już sama nominacja jest wyjątkowym, niepowtarzalnym osiągnięciem. Teraz jednak, czekając na ogłoszenie werdyktu, denerwowałem się coraz bardziej i chciałem tylko, żeby wszystko skończyło się jak najszybciej i żebym mógł wrócić do swojego spokojnego życia.

Kiedy więc na scenę poproszono przewodniczącego jury, żeby ogłosił nazwisko laureata nagrody, a przy komputerze usiedli żona i synowie, nagle i ja pomyślałem, że dzieje się coś wielkiego. Może winne były twarze dzieci, rozpromienione oczekiwaniem na wielką nagrodę dla taty, ale poczułem wtedy napięcie podobne do tego, jakie ogarnia widzów pod koniec zaciętego meczu koszykówki. Wewnętrzny głos, który do tej pory mówił mi, że literatura to nie zawody, zagłuszyło pragnienie wszystkich kibiców, chciałem, żebyśmy tego wieczoru cieszyli się z wielkiego zwycięstwa, żebyśmy głośno je świętowali, krzyczeli z radości i ściskali się z całym sobą, żebyśmy byli tak szczęśliwi, jak szczęśliwi są tylko kibice, kiedy ich drużyna zdobędzie tytuł mistrza.

Wszystko to miało mniej wspólnego z literaturą i moją powieścią niż z nami i epidemią lub przekonaniem, że po długich miesiącach zatrzymanego życia, po długich miesiącach wyrzeczeń zasługujemy na to, by przydarzyło nam się coś dobrego, niezapomnianego, coś większego niż nasze życie od początku marca.



I nagle dotarło do mnie, że właśnie to jest nam potrzebne. Że pustka, którą czujemy, zrodziła się wskutek nadmiaru spraw codziennych, nadmiaru rzeczywistości. Nasze dni następowały jeden po drugim, ale żaden nie wyrastał ponad inne. Nagle zdałem sobie sprawę, że w czasie epidemii zabrakło nam takich niereczywistych dni, w których dzieją się niezwykle rzeczy. Albo też dni, w których dzieją się całkiem zwyczajne rzeczy, ale my z takich czy innych powodów przeżywamy je jako wyjątkowo niezwykajne. Nagle uświadomiłem sobie, że tęskniliśmy do tych niereczywistych, pozornych światów, do iluzji, które dawne życie potrafiło nieprzewidzianie roztoczyć przed nami.

Będąc pisarzem, oczywiście wiedziałem od dawna, że do pisania niezbędna jest iluzja niepowtarzalności tego, o czym się pisze. Wiedziałem, że bez tej iluzji nigdy nie usiadłbym do komputera i nie zacząłbym pisać powieści, opowiadania, esaju. Wiedziałem, że do pisania zmusza mnie pragnienie rzadkich chwil, kiedy całkowicie poddaję się iluzji, kiedy gubię się w niej i wydaje mi się, że słowa same ze mnie wychodzą, że palce same uderzają w klawisze, a na pustym ekranie przede mną pisze się opowieść, która zarazem jest i nie jest moja.

Wiedziałem też, że aby pisać, potrzebna jest także deziluzja. A już na pewno pisanie prozy wymaga lektury, która rozbija iluzję, wymaga weryfikacji i konwersji na język rzeczywistości, wymaga refleksji. Bo literatura dzieje się gdzieś między przejściem od iluzji do rzeczywistości i na odwrót.

Wszystko to wiedziałem, a teraz też wiem, że bardzo podobnie ma się sprawa z życiem, które, jak pisanie, jest wiecznym tańcem iluzji i deziluzji. Wiem, że kiedy w czasie epidemii zabrakło przestrzeni dla iluzji, zniknęła ważna ingrediencja naszego życia. W czasie epidemii zostaliśmy z nagą rzeczywistością, ponad którą nie udawało nam się wznieść.

Dlatego w mojej pamięci życie w czasie epidemii tworzy nierozdzieloną materię. Wszystkie nasze wycieczki na łono



natury zlały się w jedną długą wyprawę do lasu, wszystkie rodzinne zabawy w jedno nieskończenie długie współprzebywanie, wszystkie rozmowy na Zoomie w jedną długą wymianę słów.

Jeśli więc podczas epidemii naprawdę zbliżyliśmy się do istoty życia, to tylko dlatego, że boleśnie uświadomiliśmy sobie jej niewystarczalność i to, jak ważną rolę w naszym życiu odgrywają wszystkie nasze ucieczki i odwroty od rzeczywistości, wszystkie te niezwykle chwile, kiedy my to już nie my i kiedy to, co przeżywamy, nie jest już naszym życiem.

A jeśli mnie teraz zapytacie, co w życiu jest ważne, mogę wam odpowiedzieć z niezwykłą pewnością, że trzeba się starać, by przydarzały nam się takie chwile.